TYGODNIK POZNAŃSKI

PISMO NAUKOWO-LITERACKIE.

Nr 9. POZNAŃ dnia 28 Lutego. 1862.

TYGODNIK POZNAŃSKI wychodzi co tydzień w Piątek. Abonament kwartalny wynosi w Poznaniu dla miejscowych 1 talar, dla zamiejscowych i na poczcie 1 i ćwierć tal, w Austryi 2 fl. sr., w Królestwie Polskiem i w Rosyi 1 i pół rs., we Francyi 5 fr. Zapisywać się można w Poznaniu: w Redakcyi i w księgarniach; w Krakowie w księgarni Friedleina, we Lwowie w księgarni Wilda; w Warszawie w księgarniach Celsa Lewickiego, Gebethnera i Okońskiego; w Wilnie w księgarni Orgelbranda, w Petersburgu w księgarni Wolffa i po wszystkich expedycyach pocztowych w kraju i za granicą. Redakcya przyjmuje wszelkie listy i nadsyłki frankowane u podp. Redaktora.

Z ŻYCIA,

okruchy poematu przez

LEONARDA SOWIŃSKIEGO.

(Kijów, u Leona Idzikowskiego 1861).

Z pism p. Leonarda Sowińskiego jest zwyż przytoczony poemat pierwszym, który rąk naszych dochodzi; sądzilibyśmy przeto, iż p. L. Sowiński poraz pierwszy występuje z utworem poetycznym, gdybyśmy niedowiedzieli się z kilku słów przedmowy, zwróconych do krytyków, którym cierpkie robi uwagi, iż już dawniéj, nie wiemy, czy w czasopismach literackich, czy w osobnem wydaniu, ogłaszał swoje utwory. Dzieje się to wszakże nieraz, iż dla braku należytych komunikacyi księgarskich późne dopiero o wydanych dziełach dochodzą nas wiadomości. Cieszymy się za to, że poemacik, który pokrótce rozebrać zamierzamy, wcześnie rąk naszych doszedł.

Wiadomo jest Czytelnikom naszym, iż Mickiewicz w kursie swym literatury słowiańskiéj, grupując poetów wedle pewnych kategoryj, w jednéj z nich Stefanowi Garczyńskiemu pierwsze przeznacza miejsce. Nie będę się w téj chwili nad tem zastanawiał, o ile sąd ten jest uzasadnionym, czyli innemu raczéj nie należało przyznać bezwarunkowego pierwszeństwa; nadmienię tylko, iż do wspomnionéj kategoryi policzyć należy naszego Leonarda Sowińskiego.

Poemacik, przypominający poezyą Garczyńskiego, składa się z kilku części, w formie dramatycznéj ułożonych i z wstępnych kilku pieśni. Rzecz dzieje się we Włoszech. — W pięciu pierwszych pieśniach powołuje autor duchy, które jako typy społeczeństwa w dramacie przeprowadza, do życia, ażeby oblekły się w ciało i, jemu posłuszne, uwydatniły się w pieśni.

Powtórzmy pokrótce w wyjątkach te zaklęcia. Najprzód do wiedzy ducha:

„Do mnie, do mnie! ty na czele
Wielki, jasny wiedzy duchu!
Promienistych dum aniele!
Do mnie! chyżéj! Widzę . . . lecisz
Po ogromnym gwiazd łańcuchu,
Po bezdennych nieb błękitach . . .

* * *

Mam cię w ręku,
Marmurowych serc demonie!
Widmo . . .
Z nieskończoną próżnią w łonie!“

Ducha poezyi wywołuje w pieśni drugiéj:

„Cherubinie natchnienia!

* * *

O synu mój! kochanku burz, miłości, kwiatow,
Poświęceń, łez, pamiątek, szału!
Poeto! rzuć się w pył ten brylantowy światów —
I rozpal w nim blask ideału!
Potrząśnij kwieciem róż tę dzikich walk arenę —
I łzami, krwią, ramieniem, czołem,
O piękno boże walcz za wzgard i śmierci cenę,
Aż zmartwych-powstaniesz aniołem.“

Trzecią potęgą współdziałającą w dramacie jest-to potęga o sile gromowéj; jest-to duch ofiary i poświęcenia i bezpośredniego czynu:

„Gdzieś ty (tak go poeta budzi), olbrzymie ciżb,
społecznych potęg mężu,
Owiany huraganem narodowych dum?
Ach! ukaż we krwi skroń i połysk na orężu
I wzrok w milionowy zatopiony tłum!
Patrzajcie: otóż on! posępne cienie czoła
Rozdziera jasna myśl, jak piorun kłęby chmur;
Ofiarą zbrojna pierś ogromnem hasłem woła,
A chór — przerażający odgrzmiewa mu wtór.
Z tysiąca woli drgnień odlałem duszę twoję,
Boleścią bratnich serc uolbrzymiłem duch . . .
O Panie! zejdź w otwarte pieśni méj podwoje —
I senny świat ten mój w żywota porwij ruch!

Wśród idei wyniesionych typów tych powagą, dwa są wplątane charaktery: jeden męzki, pieszczoch niewieści, łagodny i rzewny, anioł rozkoszy rodzinnych, dla którego włos kobiet powiewny i muzyka głosów dziecinnych jest wszystkiem. Niewieścia postać jest-to

owa „Zmora śliczna duchów śpiących
I urocza i przeklęta!
Czarodziejka rojeń wrzących,
W myśli sennéj bóstw marzących,
Z nad powietrznéj mgły poczęta!
jest to Widmo z lilij, tęcz i pleśni!
Burz młodzieńczych błyskawica!“

Wstępne te pieśni czytelnikowi stają się dopiero zrozumiałemi, gdy przeczyta dramacik cały; dla tego właściwie w końcu je czytać należy.

Najwydatniéj upostacił autor wiedzę w hrabi Ugonie, który w bezmiernéj dumy zapędzie sądzi, iż oderwanego rozumu siłą on świat przetworzy wedle modły, poczętéj w jego duchu.

„W mojem łonie (mówi Hugo)
. . . . światów mnóstwo,
Niebo, przestwór, czasy, bóstwo,
Nieskończoność, wieczność chłonie. . . .“

Wszakże w chwilach, gdy lud wielkie czeka do rozwiązania zadanie, gdy o Romy chodzi wolność, hrabia Ugo wstępując w swego ducha głębią, zda się, że czuje gołego rozumu bezwładność i przepaść między myślą, a bytem; wtenczas przeczuwa, iż rozum nie starczy i w zwątpienia zanurzony topieli, przeklinając chwilę, w której mistrz jego umysł młody, rozogniony „trucizną“ swéj nauki nasycał, odzywa się doń:

„Nie wiedziałem, głupie dziecko,
Dokąd wiedzie taka droga...
Nie odgadłem w sobie wroga,
Co tuż przy mnie knuł zdradziecko
Mordu zbrodnię...
Starcze! powiedz mi, dla czego
Na ołtarzu ducha mego
Zapaliłeś sto pochodni,
A strąciłeś bóstwo z niego?!“

W Faustowskim tym monologu, tryskającym iskrami potężnych myśli, Ugo najtrudniejsze stawia sobie zadania:

„Ludzkości! (pyta się), wiekuista zagadko stworzenia!
Jaka też myśl zawarta w kształtach twego bytu?
Czyś owocem przypadku, słowem bez znaczenia?
Czy napisem wyrytym u wszechżycia szczytu?
Sfinksie wieków! czyż twe dzieje,
Myśli, serca, woli czyny,
Są dla świata tego niczem?
Jak ów senny byt rośliny,
Co gdzieś kwitnie i więdnieje
W pęcie ziemi niewolniczem?
Czy przeciwnie, wszechświat cały,
Choć pozornie skamieniały,
Obumarłem swem obliczem,
Jak w pomysłów bożych księgę,
W dzieła twoje się wpatruje
I rozważa i pojmuje
I podziwia twą potęgę
Zmysłem jakim tajemniczym?
Precz mi z myśli! precz — zadania
Bez nadziei rozwiązania!“

Mimo przeczucia nieudolności siły wyłącznéj oderwanego rozumu, Ugo, dla dumy bez granic, nie wypuszcza z rąk berła przewodniczenia nad umysłami, któremi zawładnął. Ludmir reprezentujący potęgę czynu i Henryk, dwie wręcz przeciwne Ugonowi potęgi, postanowili sobie strącić go z tronu, na którym, jak pan wszechwładny, zasiadł. Ludmir, przeczuwszy sposobną chwilę do pobudzenia Romy, porozumiawszy się z Henrykiem, poetą, spieszy do loży, gdzie wierni Ugona przyjaciele codziennie zasiadają, jak bandyci na ostre noże, walcząc na myśli.

Po przemowie Ugona, któremu chór wybranych wtóruje pieśnią:

„Błyskawic strumienie
Wytrysły nam w głowie.
My Bogiem natchnieni!
My świata bogowie!“

Henryk, poeta, rzuca się na trybunę i gromową przemową stara się zgnieść dumę Ugona:

„Ciebież słyszę, bóstwo liche,
Uwięzione w czoła gmachu?
Płazie marny, wzbity w pychę,
Znikczemniały w nędzy, w strachu!
Precz mi w prochy, karła dumo,
Co . . . .
Ukryć pragniesz oczom tłumu
Wiekuistych zadań światy!
. . . .
Kłamne wasze prawo bytu!
Nie tą drogą, dziecię boże,
Ludzkość — idąc, stanąć może
U przeznaczeń swoich szczytu!
Iskrę bożą, w pierś jéj tchniętą,
Niech roznieci w żywot cały;
Myśl ofiary, z nieba wziętą,
Serc najświętszych ideały —
Niech wyryje pieśnią, słowem,
Czynem wielkim i surowym
I boleścią siedmiu mieczy.
O! czyż nie dość światom z głazu
Stawić czoło, duch, sumienie,
Czyn swobodny, moc wyrazu,
Krzyże święte, łzę, westchnienie!
Taką tylko, mistrzu, drogą
W coraz wyższe przejdziesz kręgi,
Z życiem każdem czerpiąc w Bogu
Blaski nowe i potęgi.“

W tę samą mniéj więcéj myśl godzi Ludmir, ów olbrzym ciżb, on, mąż społecznych potęg, owiany huraganem narodowych dum, na którego lud zwraca milionowy wzrok. Ludmir rzuciwszy pogardy i przekleństwa słowo owym zgnielizną bez ruchu przesiąkłym duchom, porywa przekonania siłą młodzież, która porwana wymowy prądem, odzywa się w chórze:

„Rzuciliśmy otchłań rozpaczy bezdennéj
I duch się nasz zerwał do nieba . . .
I myśl zajaśniała w pogodzie promiennéj.
Jak w pierwsze dni świata, nad bezdni falami,
Duch boży oskrzydlał obszary,
Tak dzisiaj nad ludów smutnemi dziejami
Wzbijają się krzyże, ofiary.
Lecz przyjdzie ta chwila, gdy lądy i wody
W ołtarze się boskie wypiętrzą,
I w trudach dziejowych zbratane narody
Przenikną się myślą najświętszą.
Pracujmy więc dla niéj! i wolą swobodną
Do marzeń zrywajmy się nieba!
Lecz pierwéj, niż ludzkość zostanie jéj godną,
Ach! czynu i ofiar jéj trzeba!“

W trzecim i czwartym obrazie znachodzimy dwie ziemskie, szalone i płoche sceny, a w głębi gdzieś, w dali, słychać chór stutysięczny: „Evviva, Evviva, Italia!“ — Pod balkonem widzimy dwóch Greków, z których jeden się odzywa:

„Patrz Andrea, jak wszystko w tym ludzie się sprzęga
Do celu ogromnego — nauka, potęga,
Pieśń wieszczów, praca gminu, nawet i szał płochy!
Kraj ten Bóg umiłował!“

Drugi Greczyn:

„To też żyją Włochy!“

Dopełnianie się wzajemne różnych czynników w społeczeństwa łonie, ich walka, która wśród silnych starć, elektryzujących idei i burzą nieraz zawyje i wstrząsa

społeczeństwa posady; walka ta, mówię, a zarazem i wspólne ogniwo, którem się jednoczą mimo różnic zdań, w którem stapiają się w miłosnem objęciu pomimo minionych, przebyłych, a nieraz nieuniknionych walk; — obraz, powtarzam, tego wszystkiego przedstawia autor w kilku dramatycznych obrazach, ułożonych z wysokim artyzmem, a owianych owym duchem, który określić jest trudno, ale który (możemy to z dumą i z przeświadczeniem prawdy powiedzieć) tylko polskim poetom jest właściwy. Nie wyczerpnął autor wszystkich czynników, ani to było jego zadaniem. Wszakże wyprowadzając na scenę takiego, jak Henryk, poetę, w nim upostacił wszystkie tysiące tych, co wierzą, a siłą wiary wskrzeszają, co z prawa boskiego nieśmiertelności ma znamię. Henryk nie jest marzycielem, jeżdżącym po jasnym księżyca promieniu lub bełkocącym nad sielskiego ruczaja wodami i wśród zabaw wiru, gdy Ewa o ziemskiéj mu prawi miłości, on jéj odpiera:

„Mam ja kochankę! pierś moja wrząca
Gwarzy z nią piosnką tajemną —
Postać jéj wiotka od lat tysiąca,
Przez tysiąc grobów szła ze mną.
Nieraz w namiętnem, drżącem westchnieniu
Ucho me szept jéj podsłucha,
Nieraz
Błyśnie mi promień jéj ducha,
I znowu żegnam chwile te błogie —
I z widmem zaklętem w łonie,
Idę, marzący, przez lata mnogie,
Na strunach trzymając dłonie.
Miłość ta wieczna, jak czara słońca,
Światłością duch mi zalewa —
Słowem jéj boskiem jest pieśń bez końca
Lub czyn, co wieki zdumiewa.

Kto u takiéj kochanki legł podnóża, może społeczności przewodniczyć i działaniu wskazywać drogi. Nie w abstrakcyi bezpłodnym eterze, ale w idealizowanéj prawdy niebie jego krążyć będą idee, które zdołają być nieraz i sternikami i przewodnikami.

Z przytoczonych ustępów i ze składu łacno pozna Czytelnik, iż autor takiego dramaciku musi być niepospolitą potęgą, gdy w jego słowie jakaś jest siła tajemna, urocza, niewypowiedziana, co targa za duszę, unosi, budzi i krzepi. Jest on mistrzem słowa, mistrzem formy, która jest rzeźbioną starannie w najdrobniejszych szczegółach, tak iż bodaj który z najnowszych poetów Leonarda Sowińskiego w tem przewyższył. Kto tak mistrzowsko włada językiem i w ten sposób myśl swą wyraża, ten zgłębił do dna język swego kraju i arcydzieła sztuki przetrawił. *A*

Najstarożytniejszą deklinacyą przymiotników polskich objaśnił wydanemi poraz pierwszy zabytkami językowemi:

J. PRZYBOROWSKI.

(Vetustissimam Adjectivorum Linguae Polonae Declinationem monumentis ineditis illustravit JOSEPHUS PRZYBOROWSKI, Gymnasii Regii Catholici Posnaniensis Praeceptor, Archivi Castrensis Posnaniensis Praefectus, Societatis Literariae Cracoviensis, Archaeologiae Vilnensis et Societatis Rerum Silesiacarum investigandarum Sodalis. Posnaniae ex officina Zoerniana 1861). Program Gimn. Pozn. na r. 1861.

Pod tym napisem wydał p. Przyborowski, znany badacz ojczystego języka, nader ważną i każdego miłośnika i badacza mowy ojczystéj wielce zajmującą rozprawę o najstarożytniejszem skłanianiu przymiotników języka polskiego, objaśnionem przykładami z niewydanych dotąd pomników pisanych.

Główna treść téj rozprawy, napisanéj piękną i klasyczną Łaciną, tyczy się ustalenia końcowek narzędnika i miejscownika liczby poj. przymiotników w rodzaju męzkim i nijakim. Wiadomo bowiem, że pisarze z czasów Zygmuntowskich i Stanisławowych stale kończyli tak narzędnik, jak miejscownik w liczbie poj. tak w rodzaju męzkim, jak i nijakim po twardych spółgłoskach na ym po zmiękczonych na im, jako to: w rodzaju męzkim: d o b r y m b r a t e m, w d o b r y m b r a c i e, g ł u p i m b r a t e m, w g ł u p i m b r a c i e; w rodzaju nijakim: d o b r y m p i ó r e m, w z i e l o n y m p r o s i e, g ł u p i m s ł o w e m, w g ł u p i m s ł o w i e.

Pan Przyborowski znalazł w starych, pisanych księgach sądów ziemskich powiatów: poznańskiego, gnieźnieńskiego, kościańskiego, pyzderskiego, zachowanych w archiwum poznańskiem formy narzędnika przymiotników tak na rodzaj męzki, jak i nijaki, kończące się na ym im, formy zaś miejscownika na em tak w rodzaju męzkim, jak nijakim, np.: d o b r y m b r a t e m, w d o b r e m b r a c i e, g ł u p i m b r a t e m, w g ł u p i e m b r a c i e; d o b r y m ż y t e m, w z i e l o n e m ż y c i e, g ł u p i m s ł o w e m, w g ł u p i e m s ł o w i e; i powołując się na powagę swojego archivum, radzi nam w miejscowniku przymiotników l. p. pisać e z kreską, np.: w d o b r é m b r a c i e, w b u j n é m ż y c i e; któréj to kreski tam nie znalazł i znaleźć nie mógł.

Tymczasem my dzisiaj z całą uczoną powszechnością (z wyjątkiem śp. Joach. Lelewela, który się trzymał od początku swego zawodu pisarskiego aż do końca swego żywota zwyczaju pisarzy Zygmuntowskich i Stanisławowych) od początku wieku obecnego za przewodem ks. Onufrego Kopczyńskiego, który w tym względzie poszedł za gramatyką Walentego Szylarskiego z r. 1770, piszem w rodzaju męzk.: d o b r y m b r a t e m, w d o b r y m b r a c i e, g ł u p i m b r a t e m, w g ł u p i m b r a c i e; w rodz. nijakim: d o b r é m p i ó r e m, w z i e l o n é m ż y c i e, g ł u p i é m s ł o w e m, w g ł u p i é m s ł o w i e; pomimo, że Wujkowie, Skargowie, Kochanowscy, Krasiccy, Naruszewicze, — dopóki nie skazili w tym względzie ich dzieł późniejsi wydawcy, w skłanianiu przymiotników l. poj. nieodróżniali w zakończeniu ani narzędnika od miejscownika, ani rodzaju męzkiego od nijakiego w tychże skłonnikach.

Protokoliści znowu wyżéj przytoczonych czterech Sądów Wielkopolskich, jak to wykazał nasz Autor przykładami z czasu lat 47 t. j od roku 1387 aż do r. 1434, nie odróżniali wprawdzie w rzeczonych dwu skłonnikach rodzaju męzkiego od nijakiego, lecz kończyli narzędnik na oba rodzaje na y m, i m, miejscownik zaś na e m.

Kopczyński zaś z Szylarskim nauczyli nas odróżniać w tych skłonnikach rodzaj męzki od nijakiego, zatrzymując w rodzaju męzkim, tak dla narzędnika, jak i dla miejscownika, końcówkę y m, w rodzaju nijakim końcówkę é m z kreską.

Takie jest historyczne położenie rzeczy. Zachodzi tu pytanie, który z tych 3ch sposobów skłaniania przymiotników opiera się na rzeczywistéj, umiejętnéj podstawie i, jako najodpowiedniejszy dzisiejszemu rozwojo-

wi organizmu języka polskiego, zasługuje na powszechne przyjęcie?

Aby odpowiedzieć na to pytanie, potrzeba każdy z nich rozważyć ze stanowiska umiejętności językowéj.

Najpierw weźmy pod krytyczny rozbiór odróżnania dzisiejsze Kopczyńskiego, rodzaju nijakiego od męzkiego, w rzeczonych skłonnikach. W obec umiejętności językowéj, porównawczéj, jest ono rażącą wszelki zmysł gramatyczny niedorzecznością. Jeżeli gdzie, to zapewno w Sanskrycie, w języku, który w rodzinie tak zwanéj indoeuropejskiéj góruje nad wszystkiemi pokrewnemi obfitością form, w języku, którego piśmienne pomniki sięgają do 4 tysięcy lat przed Chrystusem, powinnoby się dochować to odróżnianie rodzaju nijakiego od męzkiego w rzeczonych skłonnikach; tym czasem przymiotnik np. s i v a s, s i v a, s i v a m, s z c z ę ś l i w y, s z c z ę ś l i wa, s z c z ę ś l i w e, ma w narzędniku tak na rodzaj męzki, jak nijaki, s i v æ n a, s z c z ę ś l i w y m; w miejscowniku s i v æ w s z c z ę ś l i w y m. W greczyznie dativus, który się używa za narzędnik i miejscownik, brzmi tak w rodzaju męzkim, jak nijakim a g a t h o, w Łacinie Ablativus: b o n o. Niema też tego odróżniania w żadnym słowiańskim języku, nie znajdujemy go u protokólistów P. Przyborowskiego, ani u pisarzy Zygmuntowskich, ani Stanisławowych. Nie wiedzieli też o nim przed Szylarskim i Kopczyńskim Gramatycy Polscy, których było 20tu od Stojeńskiego począwszy aż do Szylarskiego.

Najpierwszy z uczonych naszych, który przeciw téj niedorzeczności Szylarskiego i Kopczyńskiego, nie opartéj na żadnéj podstawie historycznéj, wystąpił, był niedawno zmarły Gramatyk i Słownikarz Polski Mrongowius, spółczesny Kopczyńskiému, ale głos jego przebrzmiał bez śladu. Drugim Gramatykiem spółczesnym Kopczyńskiemu, który nie zgadzał się na to odróżnianie był Prof. Cassius. Z dzisiejszych Gramatyków są przeciwko temu pp. Żuchowski, Suchecki, Sztochel i nasz Autor, który na str. 2 powiada: „że to prawidło (Kopczyńskiego) sprzeciwia się przyrodzie języka polskiego i ustrojowi, według którego rozwinęły się innne języki, na które się zapatrywali poniekąd pierwsi badacze jego, wykazaliśmy gdzie indziéj sami i na to się także zgadzają inni (z. Wiadomość o życiu i pismach Jana Kochanowskiego. (Poznań 1857 pag. 199).

Pomimo tego wszystkiego zwyczaj półwiekowy uświęcił tę Kopczyńskiego niedorzeczność i nie zbywa jéj dotąd na obrońcach. — Jedni powiadają: skoro w rodzaju męzkim p i ę k n y ma, w narzędniku i miejscowniku, pięknym, to w rodz. nij. p i ę k n e powinny mieć te skłonniki p i ę k n e m. Jeżeli tak, to powinniśmy według téj zasady pisać i mówić p i ę k n y g o d ę b a, p i ę k n y m u d ę b o w i, a tylko p i ę k n e g o d r z e w a i p i ę k n e m u d r z e w u, czemu mówim p i ę k n e g o d ę b u, p i ę k n e m u d ę b o w i? — A potem czymże się odróżnia rodzaj męzki od nijakiego w sklananiu tak rzeczowników, jak przymiotników we wszystkich językach od Sanskritu począwszy? Otóż głoską końcową a nie przedkońcową. Kto więc różnicą głoski przedkońcowéj chce odróżniać rodzaj męzki od nijakiego, ten zadaje gwałt organizowi języka i nakręca go na drogi całkiem mu obce.

Lecz dajmy już pokój tym na prędce inprowizowanym Gramatykom i przejdźma do projektu P. Przyborowskiego, który nam radzi, ażebyśmy, cofnąwszy się wstecz po za wiek 16ty, za przykładem protokólistów sądowych Wielko-polski z końca wieku 14go i początku 15go, odróżniali w skłanianiu zaimków i przymiotników w liczbie poj. tak jak rozróżniamy w skłananie rzeczowników, miejscownik od narzędnika. Na poparcie tego projektu, przytacza nasz Autor, że w innych słowiańskich językach różni się tu w zaimkach i przymiotnikach miejscownik od narządnika, chociaż nie bezwyjątkowo, albowiem w narzeczu ruskiem (nie rosyjskiem) niema tu żadnéj różnicy.

Autor nasz największy przycisk kładzie i słusznie na język staro-słowiański, który jednakże tak dobrze przemawia za odróżnianiem miejscownika od narzędnika w l. p. przymiotników, jako też przeciwko temu odróżnianiu, bo jeżeli d o b r y j d o b r o j e za spółgłoską twardą przed zakończeniem mają w narzędniku d o b r y m skontrahowane z d o b r y i m, w miejscowniku d o b r æ m skontrahowane z d o b r æ e m; to za to wszystkie przymiotniki mające przed temże zakończeniem spółgłoskę miękką n. p.: p o ś l æ d ń-i j, p o ś l æ d ń-i æ j e mają, tak w narzędniku, jak miejscowniku jednę i tę samą formę, p o ś l æ d n i m skontrahowaną z p o ś l æ d n i i m, tak na rodzaj męzki, jak nijaki. Tak samo i w Czeskiem miejscownik kończy się dla tych samych powodów v n o v é m i v p r o n ì m. Jestże to anomalija? bynajmniej, gdyż, jak to zaraz wykażemy, mniemany miejscownik d o b r æ m, co do formy i istoty swojéj, jest tak rzeczywistym narzędnikiem, jak i narzędnik d o b r y m.

Ponieważ przymiotniki nasze skłaniają się na wzór zaimka j i, j a, j e, czyli ponieważ nasze d o b r y, d o b r a, d o b r e; d o b r e g o i t. d. powstały przez kontrakcyą, jak i w staro-słowiańskim, z d o b r†j i, d o b r a†j a, d o b r o†j e, i t. d. przeto zastanówmy się, jak wyglądają te dwa skłonniki, o których mowa, nietylko w przymiotnikach, zaimkach, lecz i w rzeczownikach staro-sławiańskich. Zaimek j i, j a, j e, ma w narzędniku, tak w rodz. męzkim, jak nijakim: j i m; drugi zaś zaimek: odpowiedni naszemu t e n, t a, t o, ma w narzędniku t æ m u nas t y m, przymiotnik ma również na oba rodz. dobryjim, co w kontrakcyi brzmi d o b r y m. Ta sama końcówka, m, narzędnika znajduje się też w skłanianiu rzeczowników. W miejscowniku zaś mają zaimki na oba rodzaje j e m, t o m; przymiotnik ma d o b r æ m, powstałe z d o b r æ æ m, rzeczownik r a b i æ, k o n i, k r a j i. — Każdego więc badacza powinno to zastanowić, że kiedy w narzędniku, tak rzeczowników, jak przymiotników i zaimków, jest jedna i ta sama końcówka m, to w miejscowniku znajduje się tylko taż końcówka u samych przymiotników i zaimków, u rzeczowników zaś jest natomiast na końcu æ (jatj) powstałe z j i; albo samo j i. I słusznie, gdyż w Sanskricie, Greczyznie, Łacinie i w Sławiańszczyznie samogłoska î albo powstała z niéj przez stopniowanie dwugłoska: ai, æ, a, e, o) jest końcówką rodzimą i jedyną miejscownika lub celownika (dativ.); miejscowniki zaimków i przymiotników w skłanianiu zaimkowym nie kończą się ani na j i ani na æ, lecz wszystkie na m. Czegoż to dowodzi? Oto, że te mniemane miejscowniki zaimków i przymiotników pozbawione swego rodzimego piętna spólnego pięciu językom rodziny jafeckiéj, nie są ze swego rodu miejscownikami, lecz prawdziwemi narzędnikami zastępującemi t j. pełniącemi tylko posługę miejscownika. Takowe

używanie formy jednéj za drugą jest bardzo pospolite w naszéj rodzinie jafeckiéj. I tak w Łacinie musi zastępować miejsce starego genitivu virgas, paterfamilias dativus: virgae; w sławiańskiem miejscownik: w t y c h, d o b r y c h musi pełnić posługę dopełniacza. Miejscownik przymiotnika zachował jeszcze piętno swoje w d o b r æ æ m powstałym z dobræ†jem, ale cóż z tego, kiedy to piętno nie stoi na końcu wyrazu a przez to samo straciło swoją gramatyczną doniosłość. Że tu się samogłoska drugiéj składowéj części e upodobniła do poprzedzającego æ, i że jest dzisiaj gramatycznym pewnikiem, że samogłoski przy sobie stojące tylko dla kontrakcyi upodobniają się do siebie (S. System der Sprachwissenschaft v. K. W. L. Heyse Berlin 1856 §. 129 S. 288), więc też te dwa æ æ obok siebie bezpośrednio stojące stanowią w d o b r æ æ m jednę zgłoskę, nie dwie, jak może nie jeden mylnie sądzi, i to æ w skutek kontrakcyi, nie w skutek opartéj na nim spółgłoski m pochylać się powinno, w staro-słowiańskim także, ku brzmieniu i. Taka sama kontrakcya zachodzi w formie miejscownika i zarazem narzędnika (p o ś l æ d n i i m powstałym z p o ś l æ d n i † j e m), dla assymilacyi następnego e do poprzedzającego i.

W takim stanie rzeczy zwróćmy myśl naszą do badaczów języka ojczystego w wieki Zygmuntowskie, a byli pomiędzy niemi niepospolici Filologowie, jakim był bez zaprzeczenia ks. Wujek i zgoła wszyscy tłómacze pisma Śgo tak katolicy, jak Dissidenci i Arianie, a takiego, jakim był Ks. Knapski, Europa w owym czasie gdzie indziéj nie miała (ma się rozumieć co do Greczyzny i Łaciny, gdyż co do Polszczyzny stoi on niżéj od Wujka, Skargi, Górnickiego, Kochanowskich i t. d.). Czuli oni, że mniemane staro-sławiańskie miejscowniki niczem innem nie były, jak takiemi samemi narzędnikami. — Lecz nasz Autor powiada, że prawa głosowe nic nie znaczą, gdyż je każdy Gramatyk naciąga, wymyśla według swego widzimisię. Na to odpowiadam, być to może i bywa niestety! jednakże prawa głosowe stwierdzone niewątpliwemi przykłady nie są żadnym wymysłem, jakim np. jest kreskowanie samogłoski e przed m, albowiem jak to już postrzegł nasz Mroziński spółgłoski: m, n, nie pochylają poprzedzającéj samogłoski e. Kto zaś sądzi przeciwnie, powinien tego dowieść przykładami, tym czasem mówim od wieków, Sem, Efrem, sen, len, dzień itd., a nie Sém, Efrém, lén i t. d. Ale przecie, powiada Autor, w staro-słowiańskiem skłanianiu zaimkowem różni się miejscownik od narzędnika, różni się w Czeszczyźnie i w pismach sądowych od r. 1387 aż do roku 1434. Była to właśnie epoka parcia języka Czeskiego na nasz, a jeżeli nie, to jest-to wielko-polski prowincyalizm; — z jednego i drugiego oswobodzili właśnie nasz język Pisarze Zygmuntowscy. W staro-sławiańskiem różni się w liczbie poj. miejscownik przymiotników i nie różni, a téj zasady, ażeby wszystko tak było w naszym języku, jak jest w staro-słowiańskiem, jak było w staropolskiem, w czasach przed-zygmuntowskich, żaden oględny Gramatyk przyjąć nie może, inaczéj musielibyśmy przywrócić formy rodzaju nijakiego w liczbie mnogiéj: d o b r a, m ł o d a, które są w staro-sławiańskiem i dotąd istnieją w czeskiem, zwłaszcza że i nasz Świętosław w przekładzie Statutu Wiślickiego i Psałterz Małgorzaty używali jeszcze tych form dzisiaj przestarzałych.

W staro-słowiańskiem brzmią miejscowniki liczby mnogiéj k o n i ę c h, d z i e l e c h, u nas zaś dzisiaj wszędzie k o n i a c h, d z i e ł a c h. — Dawniéj brzmiały u nas celowniki liczby mn.: r y b a m, g o r a m zupełnie jak w staro-sławianskiem; dzisiaj zaś tylko r y b o m, g ó r o m. Czyby ktoś, idąc za przykładem naszego Autora nie mógł nam również polecać form r y b a m, g ó r a m, które były w staréj Polszczyznie i są w staro-sławiańskiem, zamiast dzisiejszych r y b o m, g ó r o m na mocy jakich wyciągów ze starych rękopisów, bez wszelkiego gramatycznego uzasadnienia? Byłoby to cofanie się wstecz i lekceważenie historycznego rozwoju żyjącego języka, który kształcąc się dążył do uproszczenia form gramatycznych, dla tego też jednych jako niekoniecznych pozbywał się, jakto form liczby podwójnéj, drugie ujednostajniał, jakeśmy to dopiero widzieli, albowiem w postępowym rozwoju każdego żyjącego języka zmniejsza się ilość form gramatycznych, a nigdy nie pomnaża.

Dziwną jest rzeczą, że nasz Autor w swojéj rozprawie, któremu pierwotne wydania krakowskie naszych pisarzów Zygmuntowskich dobrze są znane (a nie skażone i pokaleczone ich przedruki) nie uwzględnił form narzędnika i miejscownika przymiotników liczby poj. i odwołał się do powagi swych pisarzów sądowych z epoki przedzygmuntowskiéj. Czy ludzie, którzy piszą protokóły, których nie myślą podawać do druku, więcéj mają powodów do zastanawiania się nad formami gramatycznemi od pisarzów, tłómaczów pisma Śgo, którzy swe uczone prace przeznaczyli do druku, aby ich udzielić większemu gronu uczonéj publiczności i przekazać na potomne wieki? Zaiste Wielkopolscy pisarze sądowi niespodziewali się, ażeby ich dorywcze pisma, w których więcéj im chodziło o treść i istotę zeznań osób stawiających przed sądem, niż o formy językowe, w 4sta przeszło lat po ich śmierci uczony Profesor ogłaszał jako większą powagę od powagi dzieł drukiem ogłoszonych, najuczeńszych w narodzie mężów, z epoki zwanéj złotym wiekiem naszéj literatury? Jeżeli położym na wagę czas dwojakiéj formy miejscownika przymiotnika, jednéj, która istniała od r. 1387 do r. 1434, drugiéj, która przetrwała od połowy 16go wieku aż do ostatecznego rozbioru Polski, to i tu widzim daleko większą przewagę po stronie pisarzów Zygmuntowskich. Dodajmy jeszcze na szalę powagę 20tu Gramatyków przed Szylarskim i Kopczyńskim, uwzględnijmy równoczesne protestacyje Mrongowiusza i Cassiusza wymierzone przeciwko nowości Kopczyńskiego i wyniki badań dzisiejszych naszych najlepszych Gramatyków, z których żednemu nie przyszło na myśl szukać i zaprowadzać odróżniania w liczb. poj. miejscownika od narzędnika w przymiotnikach i zaimkach, ani samemu nawet Kopczyńskiemu ani Szylarskiemu! Jeżeli nadto uważym ten pewnik w Gramatyce, że jak rodzaj nijaki od męzkiego odróżnia się głoską końcową a nie przedkońcową; tak samo i w odróżnianiu skłonnika od skłonnika jest stanowczą bez wyjątku głoska końcowa, będącą piętnem każdego skłonnika, a może nią być albo samogłoska, albo spółgłoska sama lub z następującą samogłoską, np. m i w p a n a-mi, lecz nigdy samogłoska zakryta spółgłoską, gdyż samogłoska przed końcówką spółgłoskową może się przemieniać, jak jéj się podoba, może i znikać, zawsze skłonnik pozostaje ten sam, jak naprzykład: nasze w P r u s i e c h lub w P r u s a c h, staropol. g ó r a m, r y b a m, a dzisiejsze g ó r o m, r y b o m

st.-pol. krajoch, nasze krajach, starosł. krajich; to znów: koniami, królami, końmi, królmi, azatem i pisarzów naszych grodzkich: w tem, dobrem i Zygmuntowskich: w tym, dobrym, chociaż się używa do oznaczenia miejscownika — w gruncie rzeczy, jedna i druga forma, niczem więcéj nie jest, jak tylko narzędnikiem. Prawda, że Czesi i inni Słowianie tego sztucznego i na żadnéj umiejętnéj podstawie nieopartego, niegramatycznego odróżniania miejscownika od narzędnika używają od początków swéj literatury aż po dziś dzień, lecz u nas to niegramatyczne odróżnianie znikło w naszym języku od połowy 16go wieku.

Dzisiaj tylko chodzi o to, ażebyśmy przynajmniéj z ksiąg naszych wyrugowali tę przez Szylarskiego i Kopczyńskiego narzuconą językowi naszemu niedorzeczność i tyle zdrowy zmysł gramatyczny obrażającą, z którą się jeden tylko Lelewel nigdy niezgodził pisząc zawsze dobrym prawem, nie zaś dobrem prawem.

Ks. Fr. Xaw. Malinowski.

STAROŻYTNOŚCI AMERYKAŃSKIE,

Album fotograficzne p. Charnay, z textem dorobionym przez panów Violet-Leduc i Ferdynanda Denis.
(Album photographique de M. Charnay, avec un texte par MM. Violet-Leduc et Ferdinand Denis. Gide, editeur, Paris rue Bonaparte 1861).

Nowy świat, który w przeszłości taką budził ciekawość w żeglarzach europejskich, dziś jeszcze zwabia najśmielszych badaczy sztuk pięknych. Przed czterystu blisko laty odkryto go, a dotychczas nie jest jeszcze dokładnie znany. Znamy tylko kraje i rozległe przestrzenie Ameryki, lecz ich pierwotne dzieje zupełnie są zakryte przed naszemi oczami. Na widok ogromnych pomników, tak często w Mexyku napotykanych, w obec szczątków olbrzymich budowli w Yucatanie, świadczących o istnieniu dzisiaj zupełnie już zaginionego ludu, którego typy, ubiory i obyczaje przypominają dawny Egipt i Persyą, pomimowoli nasuwa się pytanie, czy to są przypadkowe tylko podobieństwa, lub czy też te dwa światy połączone były w przeszłości jakiemi nam nieznanemi węzłami, czy jakie plemiona azyatyckie nie przeniosły się aż w głąb Ameryki. Mogły one dostać się do północnéj Ameryki przez cieśninę Behringa, gdzie powoli przeszły do Mexyku; ztamtąd wyparte przez inne ludy, nie oparły się aż w Yucatanie, ostatecznym krańcu ich śladów. Stephens, Humbold i wielu innych uczonych zajmowało się temi badaniami, które dotychczas ograniczają się na przypuszczeniach, mniéj lub więcéj prawdopodobnych. Główną w tym względzie przeszkodą był brak dokładnych opisów, w mowie będących pomników, na którychby można oprzeć te lub owe twierdzenia. Otóż obecnie mamy przed sobą album, zawierające fotografy tych ciekawych i szacownych szczątków; zdjął je podróżnik francuzki, umyślnie w tym celu zwiedzający Amerykę i podał nauce sposobność roztrzygnięcia téj kwestyi. P. Desiré Charnay, wylądowawszy w Vera-Cruz, zwiedził we wszystkich kierunkach Stany Zjednoczone, dotychczas tak mało znane: Puebla, Oajaca, Vera-Cruz, Tabasco i Yucatan. Podobna wyprawa do krain pustych lub zamieszkałych przez zbuntowanych Indian, przedsięwzięta w celu zdjęcia obrazu nieznanego nam dotąd świata, wymagała nadzwyczajnéj energii i odwagi. P. Charnay wystawiony na największe niebezpieczeństwa, w czasie upałów dochodzących do 42 stopni, odbył przeszło 1,200 mil drogi. Podróż ta urozmaicona była rozmaitemi przygodami, co krok napotykano złodziei, ciągle trzeba się było mieć na baczności, i bronić skrzynki z instrumentami fotograficznemi, i skradzioną odbijać. Walcząc przeciwko tym wszystkim przeciwnościom, co dzień się powtarzającym, zebrał p. Charnay zbiór fotografii starożytnych szczątków, które dzisiaj podaje do użytku publiczności.

Wyjechawszy z Sisal w stronę Meridy, napotkał przepyszne budowle. Pragnął zwiedzić wyspę Cozumel, na której znajdują się wieże, o kilku piętrach, lecz z powodu nieprzełamanych trudności, musiał zaniechać tego zamiaru; trzymając się północnéj strony dostał się do Meridy, daléj do Palenque, przeprawił się przez lasy, przez przesmyk do Stanu Oajaca; przebył góry i z Mitla udał się do Mexyku, ostatecznego celu téj długiéj i utrudzającéj podróży. Ze wszystkich krain, Yucatan najwięcéj zajął pana Charnay, w nim to najwięcéj zdjął fotografów. Półwysep ten napełniony jest ruinami i to różniącemi się znacznie od ruin w sąsiednich krajach się znajdujących. Wiadomo nam, jakie są własności tego nieurodzajnego gruntu, na którym żadna roślina się nie udaje, tylko kaktusy, karłowate palmy i kolczaste krzewy. Niewdzięczna ziemia żadnych nie chce wydawać owoców, mimo najusilniejszych starań człowieka. A przecież znalazł się lud, który przeniósł ten pusty półwysep nad urodzajne u stóp jego rozciągające się równiny. Jakiż powód mógł go do tego zniewolić? Zapewne nie mógł nigdzie indziéj znaleść dla siebie schronienia. Przypuściwszy więc, że plemiona przybyłe z Azyi, jak się domyślamy, osiadły w Mexyku i zostały późniéj wyparte ku wschodniéj stronie przez Astegów, naród koczowniczy, który podbił wkrótce większą część Mexyku i zagarnął urodzajne ziemie, można sobie wytłómaczyć różnicę dzielącą ruiny półwyspu od ruin na stałym lądzie się znajdujących.

Pomiędzy pierwszymi znajduje się w bliskości Valladolid rozległy budynek, który mieszkańcy nazywają Cyrkiem. Na wewnętrznych ścianach jednéj ze sal tego cyrku przedstawieni są w płaskorzeźbie wojownicy, walczący z wężami i innemi dziwacznemi potworami. Ubiór tych rycerzy przypomina płaskorzeźby pomników azyatyckich. Wojownicy assyryjscy z oszczepem w ręku podobni są do rycerzy przedstawionych na płaskorzeźbach w tym cyrku. Podobieństwo to widziemy nawet w saméjże budowie tych pomników. Ruiny w Palenque zupełnie inny mają system budowy. Figury przedstawiane na pomnikach w obydwóch tych krajach także we wszystkiem różnią się od siebie: twarze żołnierzy na płaskorzeźbach w Yucatanie nic nie mają wspólnego z rycerzami w Palenque. Zdaje się nawet, jak gdyby należeli do szczepu białych. Pierwsi są z długiemi brodami, drudzy wcale bez nich. Cóż więc za wniosek wyprowadzić można z téj różnicy? Oto ten, że ludy przybyłe do Mexyku z głębi Azyi, budowały podług stylu używanego w ich ojczystym kraju i że późniéj wyparte przez hordy z innéj strony Ameryki przybywające, musiały szukać schronienia w Yucatanie. Dokładne w tym względzie objaśnienia poda nam text p. Viollet-Leduc,

dołączony do 50 rycin fotografowanych p. Charnay, jako też bibliografia p. Ferdynanda Denis. Oczekujemy z niecierpliwością tego ciekawego dzieła, które ma roztrzygnąć tak ważne kwestye, a imię autora jest nam najlepszą rękojmią, że nasze oczekiwania nie zostaną zawiedzione. Nie można wątpić, iż dzieło to znajdzie wielki pokup.

Korespondencye.

Warszawa w Lutym .862 r.

ABC. . . . Wpływ z góry i cenzura sprawiły, iż wszystkie gazety nasze są jak bliźnięta do siebie podobne. Dla tego podobieństwa, charakterystyka każdego z pism jest trudną i niemożliwą. Trudno jest bowiem dopatrywać się charakteru tam, gdzie go wykazać nie można, niemożliwą szczegółowa charakterystyka, gdzie jest jeden ogólny charakter. Indywidualność naszych pism, w niektórych tylko drobnych szczegółach stylu, zręczności, dowcipu, większéj lub mniejszéj zdolności pisania się wykazuje, a nie w przekonaniach politycznych, nie w różnicy chorągwi i hasła na niéj niesionego. Przekonanie i samodzielność politycznego poglądu okazaćby się mogła w rozumowaniach wstępnych, w artykułach o zagranicznéj polityce, które z. r. dopiero wprowadzone do dzienników być mogły, gdyż z. r dopiero cenzura na to pozwoliła. Tutaj, to co się nazywa polityczną wiarą dziennika, okazaćby się mogło; zdolny publicysta mógłby nawet w szrankach cenzury okazać pewne przekonania i wypowiedzieć pogląd na zagraniczne wypadki, ze stanowiska polskiego interesu. Żaden z tutejszych publicystów, piszących artykuły wstępne do warszawskich gazet, nie umie tak patrzeć na wypadki, jak patrzeć powinien polski polityk, — żaden nie posiada, w braku samodzielnych przekonań, instynktu, węchu, że się tak wyrażę, który od razu daje możność ocenienia faktu z punktu jego użyteczności lub szkodliwości dla własnego kraju. Piszą i rozumują pod wrażeniem chwili, i dla tego, co się mianowicie często w Gazecie Polskiéj zdarza, jedno rozumowanie drugiemu zaprzecza, pogląd jednego numeru neutralizuje pogląd drugiego. Przy dzisiejszych stosunkach nie mogli się publicyści wyrobić i nie mamy ich dotąd. Wstępne artykuły Gazety Warszawskiéj lepsze są, trafniejsze od artykułów Gazety Pols., więcéj w nich siły, mniéj sentymentu, więcéj przekonania i zręczności, ale i one surowéj krytyki nie wytrzymają i one są gadaniną a nie rozumowaniem i one nie noszą cechy wytrawnego sądu, trafnego spostrzeżenia i zasadowych uwag i, co najważniejsza, światła potrzeby własnéj Wiadomości polityczne we wszystkich gazetach warszawskich są prostem tłumaczeniem z pism zagranicznych, dobieranych bez planu i bez względu na różnice opinii z gazet, z jakich są brane.

Korespondencye są rubryką ważniesza, a po wiadomościach krajowych, najciekawszą w naszych gazetach. Korespondenci, mianowicie też w Gazecie Warsz. piszą dobrze, z małym wyjątkiem, rozumieją rzeczy przez siebie obrabiane i umieją zainteresować czytelników. Nie będziemy charakteryzować z osobna każdego korrespondenta, wymieniamy tylko lepszych. W Gaz. Warsz. korrespondenci ze Lwowa, z Wilna, z Ukrainy należą do najlepszych, ma też ta gazeta dobrego korespondenta w Rumunii, Paryżu, Londynie, Berlinie i zanadto poetyzującego w Rzymie. Najlepsze korrespondencye w Gazecie Polskiéj są z Turynu i z Paryża. Styl ozdobny, wiadomości pewne, umiejętność zestawienia szczegółów odznacza korrespondenta z Paryża do Gaz. Polskiéj, mamy mu tylko do zarzucenia brak własnéj polskiéj perspektywy, przez którą malować nam powinien Francyą. Oddział krytyki literackiéj i feljeton w obu naszych wielkich gazetach, jest słabo reprezentowany. W feljetonie umieszczają powieści rozdzielone na kilkaset numerów. Kopciuszek w Gazecie Polskiéj i historya o pra-pra-prawnuku w Gazecie Warszawskiéj znudziły wszystkich, nikt nie czytał tych powieści, bo każdy wolał je przeczytać, gdy wyjdą osobno, niż nużyć pamięć czytaniem co dzień po kawałku, przez kwartał lub rok cały, i to rzeczy tak lekkiéj, jak powieść. Reforma feljetonu jest konieczna, niechaj nam dają artykuły krótkie, lub przez dwa lub trzy numera najwięcéj ciągnące się, artykuły treści poważnéj, częściéj historyą, podróże, krytyki, przeglądy, i t. p. Gazety Warszawskiéj redaktorem jest J. Kenig, Polskiéj zasłużony J. Kraszewski, który zapełnia codzień pół numeru swojém pismem i nieprzestaje budzić podziwienia niezmordowaną czynnością. —

Obok tych gazet stawiamy Pszczołę, pod redakcyą A. Niewiarowskiego, która wylęgła się ze zmarłéj na suchoty Kroniki. Pszczoła mniejszego formatu, żywa, kąsająca, mało posiada czytelników, ale liczba ich powoli powiększa się. Kilkomiesięczne więzienie redaktora z. r. dało się uczuć pismu przez artykuły mniejszéj wartości. Po uwolnieniu redaktora i wartość pisma podniosła się. Pszczoła stara się być dowcipną i ma czasem niesmaczny, czasem rzeczywisty dowcip. Jéj wstępne, rozumowane artykuły, niema ją innéj wagi, prócz téj, jaką daje dowcip. Ruchu dużo, ale brak zasady i przekonania. Pszczoła jednak, gdy się więcéj miodem prenumeratorów obciąży, stanie się pożyteczniejszą i, z żądełkiem swoim, bardzo dobrze może figurować obok poważniejszych i większych gazet.

O Kurjerze Warszawskim, pod redakcyą K. Kucza, jako o piśmie politycznym, niema co mówić. Czytany jest dla ogłoszeń, dla różnych brukowych, a czasem ciekawych i niebrukowych wiadomości. W z. r. puszczał się Kurjer i na rozumowania, strzelił kilka bąków, jak i Gazeta Polska, ale zawsze jest lubiony dla swojéj pełnéj dobrych chęci naiwności.

Rządowych pism mamy dwa: Dziennik Powszechny pod redakcyą Sobieszczańskiego i Gazetę Policyjną pod redakcyą Józefa Pękalskiego i innych urzędników policyjnych a założoną przez Abramowicza. Dziennik Powszechny zreformowany został z nędznéj w dwóch językach wydawanéj Gazety Rządowéj. Dziennik przyjęty z pewną nieufnością dotąd, pomimo zainteresowania, jakie obudził sporem pomiędzy Suchozanietem a Wielopolskim, wyniknym z powodu ogłoszenia bez pozwolenia pierwszego z dwóch projektów do prawa, ufności wyrobić sobie nie potrafił. Kwestya wychowania szeroko i dobrze była w tém piśmie rozbieraną, gdyż redakcya wydrukowała wszyskie prawie projekta do reorganizacyi szkół, złożone przez różne osoby w Komissyi Oświecenia. Wiadomości statystyczne i przemysłowe są również dobrą stroną Dziennika. Feljeton zapełniany jest wiadomościami ścisłemi z nauk, z historyi, i wiel ce słabemi, bez loiki, znajomości rzeczy, a ze złą wiarą pisanemi artykułami Miniszewskiego treści spółeczno-politycznéj. Wiadomości albo rozumowania polityczne są albo bezbarwne, albo nie polskie. Zaprzeczenia wiadomościom o wypadkach w Królestwie przez zagraniczne dzienniki opisywanym i polemika z temiż dziennikami nadsyłane są redakcyi z biora namiestnika lub policyi tajnéj. Dziennik czytywany jest dla zbadania myśli rządowéj, ale żaden autor niezależny artykułu do Dziennika nie napisze.

Gazeta Policyjna, prócz ogłoszeń, zawiera powieści o rozbójnikach, czułych kochankach i pełna jest koszarowego i knajpowego zapachu. Powieści te tłómaczone, lub orginalne, pisane są przez autorów nieznanych, przynosi jednak bardzo znaczny dochód, muszą go bowiem pod karą policyjną prenumerować szynkarze, kawiarki, właściciele restauracyj, kamienic i kupcy.

Z pism poważniejszych literacko-naukowych, mamy jedną tylko Bibliotekę Warszawską. Redakcya Biblioteki składa się z wielu osób i dzieli się na wydziały: literacki, językowy, historyczny, nauk przyrodzonych, spółecznych, prawny i t. p. Głównym redaktorem jest zasłużony pracownik i kompilator K. W. Wojcicki. Pomimo starań redakcyi o dobre artykuły, pomimo treści mniéj więcéj zawsze interesującéj: Biblioteka ma zaledwo siedemset prenumeratorów i utrzymać się o własnych siłach nie może. Co rok, zamożniejsi członkowie redakcyi, robią między sobą składki, któremi pismo podtrzymują. Bez ich ofiar, Biblioteka upadłaby już dawno. Obojętność publiczności dla Biblioteki nieprzyzwyczajeniem do poważniejszéj lektury w części wytłómaczyć można. Do smutnych jednak wniosków o oświacie naszéj doprowadza mała liczba prenumeratorów Biblioteki i sztuczne sposoby jéj podtrzymywania. Pismo to albowiem, jakkolwiek nie zawsze ogłasza doborowe artykuły i nie stara się w nich o jedność poglądu i zasady, przecież w każdym poszycie posiada artykuły dobrze i sumiennie napisane i zasługuje na największe rozpowszechnienie. Z działu literatury, piękne są artykuły pani W. pod tytułem: Kronika paryzka. Pisane z żywością, wdziękiem, ozdobnie i niepozbawione myśli i trafnych obserwacyj, czytane są z zajęciem. O literaturze w Czechach A. Chodzki, Epikureizm i Lukrecyusz K Kaszewskiego, należą do najlepszych prac w Bibliotece drukowanych. Kaszewski jest najgruntowniejszym krytykiem w Bibliotece. Dział krytyki, jak we wszystkich innych pismach, tak i w Bibliotece słabo jest reprezentowany. Artykułów treści spółecznéj bardzo mało, monografij lepszych historycznych nie ma także. Poezya mało uwzględniona. Tłomaczeniom arcydzieł zagranicznych i w tym roku Biblioteka otworzyła swoje kolumny. Podróże, prawo, biografie, wiadomości z nauk przyrodzonych, kro-

nika bibliograficzna, nowiny literackie: wszyskiego jest po trosze, a wszystko poważnie traktowane i uczciwie podane. Dla umysłów zastanawiających się i poważnych Biblioteka ma dużo interesu, ale widać, że nie wiele u nas takich umysłów, kiedy dotąd mało ma prenumeratorów. Wina małego rozpowszechnienia spada nietylko na publiczność; redakcya jest także winną, że nie umie rozbudzić zapału do czytania zbiorem światła i faktów koniecznych dla powszechnéj wiadomości. Nikt zapewne nie zarzuci Bibliotece uczciwych chęci, nigdy nie podejrzywaliśmy jéj o zboczenie z zasady narodowéj, ale Biblioteka nie zawsze ją rozumie, nie zawsze zdaje sobie dokładne z niéj sprawozdanie, a prawie nigdy nie stosuje jéj do pojęć i potrzeb współczesnych. Z wyjściem nowego zeszytu, nikt nie spieszy się do odczytania go, gdyż każdy jest przekonany, że nie znajdzie w nim nic takiego, coby mu dało nowy pogląd, wyobrażenie, nowe a obszerne światło na rzeczy literacko-naukowe, albo też społeczno-polityczne. Mało ruchu, mało życia widzimy w Bibliotece. Zdaje się obawiać nowych idei, a pilnie przestrzega, żeby nikt z szeregu nie wystąpił. Talenta rzeczywiste, samodzielne, umysły twórcze, stronią od Biblioteki, jak i prawie od wszystkich innych pism warszawskich, gdyż obawiają się, żeby ich klasycznemi a kościstemi łokciami konwencyonalnych wyobrażeń nie wepchnięto w szranki wygodnéj rutyny. Nic też nigdy nowego a żywotnego nie spotykamy w kolumnach pism tutejszych. Naród wyrabia się, żyje całą siłą, tworzy nowe idee, nowemi drogami zdąża, a literaci warszawscy jak maruderzy ciągną za nim i nie mają wielkiego słowa do powiedzenia. Pisma polityczne głównie dla tego są czytywane, że każdy potrzebuje wiadomości faktow z bieżącéj kroniki europejskiéj; literackie zaś dla tego nie mają czytelników, że zziejane, zmęczone trudami, nie mogą zdążyć za narodem, a tém bardziéj wyprzedzić go i prowadzić nie potrafią. Toż samo powiedzieć można o Magazynie Mód wydawaném przez ludowego pisarza J. K. Gregorowicza, toż samo o Kółku domowem panny J. Smigielskiéj, bardzo pracowitéj redaktorki, toż samo i o Tygodniku Jllustrowanym S. Jenikego. Wszystkie te pisma, jak i Biblioteka są uczciwe, zadne z nich nie głosi fałszów, błędnych teoryi, żadne nie hołduje mocniejszemu, wszystkie są moralne, religijne, ale też wszystkie bezbarwne. Częściéj i śmieléj zwracać się powinny ku przedmiotom społecznéj i politycznéj natury, częściéj i śmieléj zbliżać się do nowych idei i pojęć, a od filozofii i poezyi nie odżegnywać się.

Potrzeby współczesne, w danym zakresie, najlepiéj rozumie Jutrzenka p. red. Daniela Neufelda. Wychodzi tygodniowo, przeznaczona jest dla izraelitów polskich, ma zaś na celu oświecanie ich i łączenie z narodem w duchu i w obowiązkach publicznych. Jutrzenka, jak każde młode pismo, jest zanadto drażliwą i rzuca nieraz pewnikami tam gdzie jest potrzebne rozumowanie, ale zresztą redagowaną jest z talentem i dobrze pojętym celem. Ważne to, pod każdym względem, dla nas pismo, prowadzi bowiem dzieło zjednoczenia żydów z narodem, daje literaturze pracowników ze sfer, z których dotąd żaden albo mało rekrutowało się autorów. Tygodnik Illustrowany ma dużą liczbę prenumeratorów, a zasłużył sobie na nią, przez zaznajamianie nas z własnym krajem. Nie pożycza rycin i opisów z innych Illustracyi, ale daje nam swojskie rzeczy, nasze miasta, zamki, kościoły i naszych ludzi. Tygodnik Illustrowany z Jutrzenką i Biblioteką, należy do najlepszych pism warszawskich.

Zapowiedziano nam przeszłego roku nowe pismo literackie p. t. Świat. Redaktora Appolina Korzeniowskiego wzięto do cytadeli i, dla téj przyczyny, nie wyszedł ani jeden numer Swiata. Zapowiedziano także wydawanie pisma dla polskich ewanielików p. t. Zwiastun ewangeliczny; redaktorem miał być uczony pastor Otto, ale został osadzony w cytadeli, a ukazanie się tego, bardzo potrzebnego, pisma zostało wstrzymane Zwiastun mógł być dla naszych ewanielików tem, czém jest Jutrzenka dla żydów, t. j. regulatorem ich dążeń i pośrednikiem jedności narodowéj. P. Gliszczyński zapowiedział także nowe pismo, nie wiemy dla czego zamiar jego nie przyszedł do skutku.

Pamiętnik Religijno Moralny dotąd wychodzi, redaktorem jest ks. Adam Szelewski. Najlepsze w nim artykuły są pióra ks. Serwatowskiego. Pamiętnik z powodu ograniczeń cenzury, nie mógł zostać organem polskiego duchowieństwa, nie mógł przedstawić i popierać stanowiska, które podniosło go bardzo wysoko i poprowadziło drogą chrześcijańsko-narodową. Nie robimy Pamiętnikowi żadnego zarzutu, albowiem on, jak i wszystkie inne pisma, nie może odbijać w zupełności ducha narodu i idei w nim robiących, i on ciągnąć się tylko może leniwym krokiem za narodem.

Pism peryodycznych ludowych mamy dwa: Czytelnię Niedzielną pod redakcyą A. Gillera i Kmiotka illustrowanego pod redakcyą W. L. Anczyca. Oba te pisma, odpowiadają jak mogą swojemu zadaniu, a należy się spodziewać, że w miarę wzrostu oświaty i czytelnictwa pomiędzy ludem, do czego mocny bodziec w zeszłym roku został nadany, i te pisma wznosić się i rozwijać będą.

Przyjaciel dzieci illustrowany, pod redakcyą Lewestama, nabiera wziętości. Wydawany jest dla dzieci starszych, i dla tego pisany w sposób poważniejszy.

Roczniki Gospodarstwa Krajowego, pismo miesięczne pod redakcyą Stawiskiego, zawiera wiele ważnych dla rolnika naszego artykułów. Jest-to, bez zaprzeczenia, najlepsze pismo rolnicze w języku polskim.

Przy Gazecie Warszawskéj, wychodzi Korrespondent rolniczo-handlowy, pod redakcyą Konstantego Pathie. Gazeta Rolnicza, p. r. A. Mieczyńskiego odznacza się taniością i nie zawsze dobranemi artykułami.

Pism lekarskich mamy trzy: Pamiętnik Towarzystwa lekarskiego warszawskiego, pismo miesięczne dawniéj pod redakcyą Dra. Dybka, teraz Dr. Luczkiewicza. Tygodnik Lekarski wychodzi pod redakcyą Dra. Ludwika Natansona; Przyjaciel zdrowia pod redakcyą Dra. Karola Gregorowicza. Wszystkie te pisma redagowane są starannie i są dowodem wzrostu medycyny w Polsce.

Dziennik Politechniczny, pod redakcyą braci B. i W. Marczewskich, mało rozpowszechniony. Nie małą stratą byłby upadek tego pisma dla braku prenumeratorów.

Ruch Muzyczny wychodzi pod zdolną redakcyą Józefa Sikorskiego, poświęcony muzyce, jest organem polskich muzyków, i należy do najlepszych specyalnych publikacyi peryodycznych.

W cudzoziemskim języku, mamy tylko jedną Warschauer Zeitung, pod Redakcyą Petzeda. Miała ona niemców zaznajamiać z literaturą i życiem polskiem, ale tego nie robi. Bezbarwna, wykazała jednak kilka razy nieprzyjazne tendencye i stanęła w obronie germanizacyi Mało czytana, mało ma wpływu, utrzymuje się sztucznemi sposobami.

Pism zbiorowych mieliśmy w zesz. roku kilka. Najważniejsze z pism tego gatunku jest Księga Swiata, illustrowana, p. redakcyą U. Skimborowicza. Zawiera pożyteczne wiadomości i dobrze zastępuje Magazyn Powszechny przez Brodzińskiego niegdyś wydawany. Gwiazdki pisma zbiorowego p. A. Niewiarowskiego, wyszedł jeden tom. Zabawy umysłowe dla młodego wieku, wydawała J. Smigielska, wielce użyteczna publikacya. Rocznika Leśniczego wyszedł 1 tom; Biblioteka Rolnicza, dzieło zbiorowe, przy Gazecie Rolniczéj wydawane i Świat Literatury, historyi, Nauk Ekonomicznych Podróży i Powieści wydany w kilku tomach przez F. I. Dmochowskiego.

Ruch więc, jak z tego obrazu widzimy, prassy peryodycznéj w Warszawie był dość znaczny Nie uległ stagnacyi, lecz rozwinął się, a rozwinąłby się dzielniéj, gdyby usunięte były przeszkody cenzuralne, policyjne. Przeszkody te, jak to wyżéj powiedziano, pozbawiły prassę wpływu na rozwijające się wypadki Odstępstwa, zboczenia, usiłowania dążącego do zerwania jedności narodowéj, nie było w warszawskiéj prassie, która też chociaż bezbarwna, nie przedstawiała przykrego widoku waśni, kłótni, plwań wzajemnych, jakie nam przedstawiają niektóre pisma peryodyczne i nieperyodyczne w emigracyi, pozbawiające się takiem postępowaniem wziętości i wpływu na kraj, który nie chce słyszeć o rozerwaniu swojéj jedności i dzieleniu się na obozy.

Od Redakcyi.

Panów: T. L. w F.; S. w P.; B. w W. prosimy o łaskawe nadesłanie korespondencyj; Pana zaś H. F. w W. J. o koniec Jego pracy. Z oferty Pana Ł. w B. nie możemy korzystać. Pan G. w G. niech będzie łaskaw oświadczyć, do jakiego czasu i do jakiéj okolicy S. jego wspomnienia się odnoszą. Pana W. w L. prosimy o Jego pracę o S.; Pan Ż już powrócił. Panom S. E w P. i S. T. w L. proponujemy zamianę Tygodnika Pozn. na Ich Pisma, począwszy od 1go Nru t. r.

Redaktor i nakładca Dr. Kaźmjerz Szulc przy ulicy Fryderykowskiéj Nr. 19. — Czcionkami A. Poplińskiego.